№ 3. Warszawa, dnia 4 (16) Stycznia 1878 r. Rok XIII.—Tom IV.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

ZADANIA MORALNE

skreślił

Bronisław Chlebowski.

I. Cel życia.

Prasa nasza od kilku lat żywo się zajmuje roztrząsaniem tak zwanych kwestyj społecznych, pod któremi rozumie głównie materyalne interesa i sprawę oświaty. Rozsiewanie jasnych pojęć o warunkach zdrowia i rozwoju organizmu społecznego jest niezawodnie jednem z najważniejszych zadań dziennikarstwa. Nie należy tylko zapominać, co się często dość trafia, iż dobrobyt i oświata to dopiero fundamenta prawdziwego postępu, nie zaś jego urzeczywistnienie—że niedość lud zbogacić i oświecić, aby go umoralnić zarazem. Widzimy np. iż w miastach większych, gdzie dobrobyt i oświata najłatwiej i najprędzej się rozprzestrzeniają, poziom moralny raczej upada niż się podnosi, że kraje najoświeceńsze i najzamożniejsze nie mogą się pochwalić odpowiednim stopniem umoralnienia. Sam nawet postęp dzisiejszej cywilizacyi działa demoralizująco na massy, idealizując nizkie popędy i zwierzęce nałogi, budząc zamiłowanie do wygodnych warunków materyalnych życia, nie zaś do jego istotnych celów i obowiązków. Dlatego też kwestya umoralnienia nietylko jest równie żywotną jak kwestya dobrobytu lub oświaty, lecz o wiele donioślejszą jeszcze dla społeczeństwa. Pomyślność społeczeństwa każdego zależy nietyle od zamożności i oświaty składających je jednostek, ile od udziału, jaki biorą one w sprawach ogólnych, od wysokości i doniosłości celów, jakie sobie w życiu zakładają, od energii i harmonii, z jaką dążą do urzeczywistnienia tych celów. Wartość człowieka jako członka społeczeństwa polega nie na jego zamożności ani nie na jego oświacie, lecz na umoralnieniu, na poczuciu obowiązków i solidarności interesów ludzkich.

Ubogi wieśniak, przyczyniający się swoim groszem i udziałem osobistym do należytego funkcyonowania instytucyj gminnych, do pomyślnej exystencyi kościoła, szkoły, sądu i zarządu miejscowego, jest lepszym i pożyteczniejszym obywatelem kraju od bogacza gromadzącego w kassie ogniotrwałej milionowe wartości i zużywającego na podróże i zbytkowne życie swe siły i dochody. Skromny nauczyciel elementarny, oddany z zapałem zmudnej pracy—rozwijaniu serc i umysłów dziecinnych—więcej dobrego czyni społeczeństwu niż niejeden uczony, widzący w swej wiedzy jedynie środek do zdobycia mienia i stanowiska.

Społeczeństwo istnieje dla ludzi, nie ludzie dla społeczeństwa; z tem wszystkiem istnieje ono nie po to, by nam dostarczać środków do spokojnego i wygodnego zaspakajania czysto-zwierzęcych popędów, lecz dla przyniesienia pomocy tym, które zmierzają ku celom wyższym, wymagającym wspólnej zbiorowej działalności. Społeczeństwo możnaby nazwać stowarzyszeniem wzajemnej pomocy, dla osiągnięcia wyższych celów życia, a właściwie tego jedynego, ostatecznego celu każdej jednostki, jakim jest szczęście. Nic fałszywszego i zgubniejszego nad pogląd czyniący jednostki niewolnikami, zmuszonymi cierpieć i pracować dla urzeczywistnienia narzuconej im z góry idei. Własny interes i miłość własna: oto jedyny bodziec i sprężyna ludzkiej działalności.

Pracę swoję poświęcamy dobrowolnie dla tego tylko, co jest nam drogiem lub co wydaje się pożytecznem, co kochamy lub czego potrzebujemy. To też społeczeństwo tem pomyślniej się rozwija, im więcej jego członków rozumie i miłuje wyższe cele ludzkie, słowem, im więcej posiada ono rzeczywistych, czynnych członków. Wstępując do jakiegoś stowarzyszenia, musimy się wyrzec czynów, nawyknień, obyczajów, niezgodnych z jego celami i zasadami, i powinniśmy starać się o mniej lub więcej gorliwe współdziałanie w urzeczywistnianiu celów, dla jakich ono powstało: podobnież i członkowie społeczeństwa muszą wstrzymywać się od czynów i dążeń sprzeciwiających się jego interesom i zamiarom. Społeczeństwo, niewybierając samo swych członków jak inne stowarzyszenia, musi tym, którzy nie pojmują i nie miłują jego celów, narzucać przymusowo zarówno swe dobrodziejstwa jak i swe obowiązki.

Uwagi te były nam potrzebnemi dla wyjaśnienia stanowiska społecznego jednostki, która bez pomocy wielkiego koła ludzkiego, nie zdoła nigdy urzeczywistnić swych celów istotnych, nie osiągnie nigdy najwyższego możliwego stopnia szczęścia, stanowiącego kres naszych dążeń i przedmiot pragnień. W tej nieprzełamanej niczem energii i wytrwałości, z jaką ludzie od kolebki do grobu dążą ku zaspokojeniu pomienionego pragnienia, w tych trudach, ofiarach, cierpieniach, jakie dobrowolnie ponoszą, objawia się najwybitniej cała potęga egoizmu. Gonitwa ta, pochłaniająca zwykle wszystkie siły i zdolności ludzkie, zniewala nas do przebywania brudnych kałuży, naraża nas na zwierzęce boje z tamującymi nam drogę współzawodnikami, sprowadza tysiące fizycznych i moralnych cierpień, staje się tylekroć powodem utraty zdrowia, godności osobistej, życia samego wreszcie; mimo to, niezrażeni niepowodzeniem tylu poprzednich pokoleń, biegniemy owczym pędem za innymi, niepatrząc na to, co leży po drodze i przy drodze, co depczemy i co pomijamy, by kosztem niepowetowanych strat, niewróconego czasu i sił, przekonać się nareszcie, żeśmy gonili za ułudną marą, że mimo zdobycia upragnionych warunków szczęścia, ono samo uleciało gdzieś daleko. Jesteśmy wówczas w położeniu wędrowca, który na widok brzegów jeziora, połyskującego mu zwodniczo na krańcu widnokrę-

gu śród bezwodnej pustyni, dobywa ostatnich sił, biegnie i pada omdlały, złorzecząc złudnemu zjawisku.

Pierwszym warunkiem szczęścia, o jakim marzymy i za którym się ubiegamy, jest, naturalnie, wyzwolenie się od cierpień fizycznych i trosk materyalnych. Tymczasem walka o byt i wszelkie rozkosze fizyczne zużywają siły i nabawiają nas cierpień, przy których niedostępną się staje cała summa uciech materyalnych, jaka się nam uśmiechała z bryły złota.

Niedość używać — trzeba jeszcze używać spokojnie i trwale, by znaleźć szczęście w używaniu. Spokojnym może być ten tylko, kto zostawał zawsze w zgodzie z sumieniem. Tymczasem zwierzęce namiętności, podniesione gorączkową gonitwą za szczęściem, tłumią najczęściej głos tego moralnego instynktu, który milknie, by później odezwać się z tem większą siłą i wewnętrzną troską zakłócić używanie zdobytych łupów. Co się tyczy niezmiennej trwałości, to jest ona jednym z tych nieszczęsnych złudzeń, których człowiek nigdy się pozbyć nie może. Jak każdy z grających w loteryę spodziewa się wielkiej wygranej, tak każdy goniący za szczęściem marzy, iż zamiast nędznych okruszyn, jakie dostały się jego poprzednikom, zdobędzie wreszcie złote runo, strzeżone przez tajemnicze potęgi.

Ochraniać siły ludzkie od zużywania się w daremnych wysiłkach, zwracać je na właściwą drogę: oto jedno z najważniejszych zadań społecznych. Zadanie to nie łatwe, gdyż walka z odwiecznym błędem, silnym potęgą wrodzonego popędu, przedstawia wielkie trudności. Powinniśmy jednakże pełnić to, co uważamy za swój obowiązek, bez względu na rezultaty. Choćby ze stu ziarn rzuconych jedno tylko weszło, to i tak praca nie będzie daremną.

Pragnąć szczęścia i gonić za niem—cóż w tem może być złego? Przecież to wrodzony, instynktowy popęd naszej istoty: jakiemże więc prawem pragnienie szczęścia staje się źródłem tylu cierpień i nieszczęść; dlaczegóż gonitwa sama budzi w nas zwierzęce instynkta, a w końcu drogi czeka nas rozczarowanie lub krótka ułuda? Wszystko to prawda niezawodna: całe nieszczęście i złe w tem tylko leży, że my za cel zabiegów wybieramy nie to, co jedynie może nam zapewnić trwałe zadowolenie, co nas może podnieść moralnie i daje się osięgnąć bez przebywania brudnych kałuży, lecz zwykle—drugorzędne i niekonieczne warunki szczęścia, jakiemi są dostatki i stanowisko. Zamiast w tych warunkach widzieć piedestał pozwalający nam sięgnąć czołem w sferę tęczowych blasków duchowej doskonałości, my martwą bryłę czynimy swojem bóstwem i bijemy przed nią czołem, daremnie wyczekując ciepła i światła mającego rozgrzać skrzepłe serce i rozproszyć pomrokę naszego ducha. Nie jeden wdarłszy się na ów piedestał mniema, iż przez tosamo stał się lepszym i wyższym od innych mniej silnych lub szczęśliwych, i zamiast aureoli duchowej, szuka dymu ziemskich kadzideł, by ukryć i stłumić ślady błota, pamiątki zwierzęcych bojów, jakiemi sobie torował drogę. Nie znalazłszy na zdobytem stanowisku i w zebranych dostatkach szczęścia, jakiego oczekiwali, chcą ludzie przynajmniej ukryć przed światem swe niepowodzenie, i pozorami szczęścia łudzić innych i siebie samych zarazem. W licznym zastępie komedyantów, jakimi świat ten jest przepełniony, tego rodzaju aktorowie są może najszkodliwszymi, szczepią bowiem w łatwowiernych tłumach przekonanie, iż do prawdziwego szczęścia można dojść najniegodziwszemi drogami. Gdy bowiem chodzi o szczęście, to najwyższe dobro, ostateczny wyraz pragnień i dążeń wszystkich ludzi—mędrców i prostaczków, bogaczy i biedaków,—wtedy wszystkie prawa i obowiązki, przeszkadzające, w naszem mniemaniu, osiągnięciu tego dobra, tracą swą powagę i znaczenie.

Wprawdzie między prawami moralnemi a prawdziwemi celami i interesami jednostek nie zachodzi nigdy rzeczywista sprzeczność; ale jakże mało ludzi pojmuje jasno swe prawdziwe cele i umie wybrać najwłaściwszą ku temu drogę i środki! Prawa moralne dopóty nie przenikną do mass, póki każda jednostka nie zrozumie, że żyjąc cnotliwie i pracowicie czyni dobrze samej sobie, że prawa moralne zabezpieczają przedewszystkiem interes każdego człowieka i wskazują najprostszą drogę do szczęścia.

Czemże bowiem jest owo szczęście, którego istotę rozumiemy wszyscy, lecz warunków nie możemy nigdy zebrać w zupełności? Jest to poprostu trwałe zadowolenie z samego siebie i z tego, co nas otacza. Pierwszy warunek, choć trudny, ale możebny dla każdego; drugi za to w świecie ludzkim nigdy w zupełności nie da się urzeczywistnić. Z tem wszystkiem słusznie bardzo powiada przysłowie: iż „zadowolenie z siebie stanowi połowę szczęścia.“ Wprawdzie przywykliśmy stosować je ironicznie do zarozumiałości głoszących się nieomylnymi i doskonałymi, ale przecie nietrudno odróżnić chełpliwego głupca od człowieka szczęśliwego spokojem, jaki daje czyste sumienie i poczucie należytego wypełniania obowiązków [1]).

Zadowolenie z siebie wtenczas nam daje „połowę szczęścia,“ gdy jest trwałem i wspiera się na znajomości samego siebie, gdy stanowi rezultat pracy nad własnem udoskonaleniem i bacznej obserwacyi własnych uczuć, dążeń i czynów. Idyota lub głupiec jest szczęśliwszym jeszcze na pozór, bo bywa zadowolonym zarówno ze siebie jak i ze swego otoczenia; lecz jest to szczęście, że tak powiemy, zwierzęce, szczęście oparte na nieczułości na to wszystko, co jest źródłem zarówno cierpień jak i rozkoszy prawdziwie ludzkich. W kim raz tylko rozbudzi się dusza, w kim zatli skra samowiedzy i zabłyśnie promień ideału, ten nigdy już nie będzie szczęśliwym, tem czysto zwierzęcem szczęściem, szczęściem dzieci i idyotów. Życie społeczne o ile udaremnia osięgnięcie względnie zupełnego szczęścia, o tyle znowu umożebnia osiągnięcie owej „połowy szczęścia,“ owego prawdziwego zadowolenia z siebie, dającego nam siłę do znoszenia wszelkich przykrości i trudów życiowych. Nie będzie to obojętność stoika, który, dumny własną cnotą, spokojnie i pogardliwie patrzy na swe otoczenie, nieczuły na osobiste krzywdy, ale także i na cierpienia drugich. Przeciwnie, takie zadowolenie z siebie oparte na świadomości ciągłego i szczerego dążenia ku dobremu, czyni nas tylko wyrozumialszymi na błędy cudze, budzi tem więcej współczucia dla cierpień i niepowodzeń zbłąkanych braci. Znając siebie i wiedząc jak trudnem jest wewnętrzne przekształcenie, jak mozolnie odszukiwać należy właściwych dróg i środków ku wyższym celom życia wiodących—patrzymy na zbłąkanych ze współczuciem widzącego dla niewidomych, wyratowanego z rozbicia dla walczących jeszcze z falami towarzyszy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Sędzianka w Łopatyczach wśród otoczenia, którego była królową, wszystkich przechodziła bystrością umysłu i czuła się wyższą; pomimo to było to dobre, wesołe, szczęśliwe dziecię, ciekawe, łatwo się zabawić dające i ożywiające dwór swym wdziękiem i dowcipem.

Mówiliśmy już, że Łopatycze częstych miewały gości: sędzia z gościnności słynął. Miano go za bardzo możnego pana: boć wsi różnych i folwarków liczyło się za nim sporo; życie było pańskie, służba liczna — i Czemeryński rad mawiał, że mu tam tysiączek dusiów różnicy nie robił.

Czy to było prawdą, sam Pan Bóg wiedział o tem; na święto-jańskie kontrakty czasami trochę biegano za pieniędzmi, lecz procenta się płaciły regularnie i bez zwłoki. Długi bowiem miał sędzia i to spore. Jedne intabulowane były, drugie za kieszonkowemi skryptami i obligami; nie liczył nikt ile razem wynosić mogły—lecz coroku ich, zamiast ubywać, przyrastało.

Miał sędzia talent osobliwy zaciągania długów, tak jakoś zawsze, że nie on o pożyczenie prosił, tylko jego o lokatę błagano. Szlachta do kolan się kłaniała, sędzia wahał się nawet i opierał, a konieckońcem nie mógł poczciwemu szlachcicowi odmówić i skrypt wydawał. Ubodzy ichmość z województwa Brzeskiego, ba i z Podlasia, sędziego mieli za tłusty połeć, a że procenta uiszczał, niekażąc po nie jeździć kilka razy, kredyt miał wielki.

Czy sam Czemeryński dokładnie miał spisane swe długi i zdawał sobie sprawę ze stanu majątku? za to ręczyć nie można; lecz, że wspaniale pieniędzy używał, bez skąpstwa i nierozpadając się nad groszem każdym, wiedzieli wszyscy.

Coroku z Gdańska przychodziły obfite prowizye do domu, wina, bakalij, cukru, kawy, korzennych przypraw, a niekiedy i sprzętu wytworniejszego; z Węgier sprowadzano wino stołowe pospolite i Tokaj-kapkę, który był od wielkiego dzwonu.

Stroje dla pań, szczególniej dla Leonilki, przychodziły też z zagranicy, równie jak farfury, szkła, materya, a nawet sukno dla samego jegomości. Czemeryński gusta miał pańskie, a o czemkolwiek zasłyszał, że w używaniu było u osób dystyngowanych, to zaraz u siebie mieć musiał.

Dnia tego zjechał był właśnie pan Podkomorzy Buchowiecki w gościnę do sędziego, gość ulubiony Czemeryńskiemu, bo z wielu względów charakterem do niego podobny, lecz nierównie czynniejszy. Buchowiecki miał też o mil kilka od Łopatycz dwór na stopie nowoczesej, sam się już był przebrał po francuzku i życie pędził na politycznych robotach, trzymając się stronnictwa Czartoryskich i Fleminga.

Podkomorzy całe niemal życie z powodu tych zabiegów sejmikowych, processowych, jednania sobie serc obywatelskich i dworowania magnatom, których trzymał stronę, spędzał w podróżach. Stały się one dlań nałogiem, potrzebą, tak, że gdy w domu siedzieć był zmuszonym — tęsknił. Czemeryński, leniwszy daleko, małoco się ruszał z domu, był więc dlań Buchowiecki łącznikiem ze światem, przynosił mu wieści oryentujące, stawał się najpożądańszym z gości. Puszczali się oba naówczas w rozprawy nad możliwemi skutkami kroków uczynionych przez Czartoryskich lub zamierzonych przez Fleminga, o czem Podkomorzy zawsze bywał przed innymi uwiadomiony.

Zdawało się Czemeryńskiemu, iż elokwencyą swą wpływał kanałem Podkomorzego na postanowienia, jakie w wyższych sferach czyniono. To go w dumę wbijało. Można więc sobie wystawić jak Buchowieckiego przyjmowano.

Podkomorzy, który od lat kilku dopiero, gwoli swym przyjaciołom politycznym, przebrał się po francuzku, trochę był jeszcze w stroju tym sztywnym, nieco śmiesznym; peruka mu zawadzała, nogi w pończochach marzły, kamizelka nie zastępowała pasa, i z tego powodu zapewne często się w zwierciadłach przeglądał, a zawsze coś na sobie poprawiał. Nie był to nigdy piękny mężczyzna; twarz miał pospolitą, piernikowej barwy, oczy bure maleńkie; lecz nadzwyczajna żywość, ruchawość, gadatliwość i śmiałość w towarzystwie, przyjemnym go czyniły. Jak tylko przybył Buchowiecki, podano śniadanie i panowie zasiedli, rozprawiając *de publicis*, gdy Śliwka ekonom się zameldował.

Był to suchy, mały, ospowaty człeczyna, nie mówiący wiele, lecz nadzwyczaj sprężysty i do utrzymania porządku rygorem jedyny.

Czemeryński, gdy mu dano znać, że Śliwka czeka w przedpokoju, ponieważ to przerywało rozmowę, niezmiernie się oburzył.

— Na rany Pańskie! niech-że mi da pokój, widząc, że mam w domu tak dostojnego i miłego mi gościa!

To mówiąc, patetycznie ręce wyciągnął. Ale Paweł, kamerdyner, przygładzając włosy, szepnął:

---

[1]) Idea szczęścia w stosunku do etycznych przeznaczeń jednostki na ziemi, rozebraną była w *Bluszczu*, w duchu przekonań autora niniejszego autykułu, w obszerniejszej pracy pod tytułem: *Rodzina jako stowarzyszenie się do szczęścia* (Bluszcz z roku 1874, Nr 46—50). *(Przyp. Red.)*.

— Sprawa jakaś pilna, extraordynaryjna!

Usłyszawszy to sędzia, pędem wybiegł do przedpokoju, gościa przepraszając. Śliwka stał ponuro, w ziemię patrząc, w kurtce, butach długich, z bizunem przez plecy.

— Jakże możesz o tej porze, tak niewłaściwej, mój Śliwka, inkomodować mnie drobnostkami! Godziż się to? przyzwoita-li? potrzebna?

— Jaśnie panie—odparł chrypliwie ekonom—Sierhińscy chłopi het koszą na Osowcu, jak raz bez przeszkody zetną trawę.

— Wiadoma rzecz, że tego się dopuszczać nie godzi!—zawołał żywo Czemeryński. — Po cóż o to pytać! Sankcyonuję zawsze co w tej mierze przez acana jest uczynione.

— Przecież tam się bez bójki i awantury nie obejdzie— rzekł Śliwka,— więc trzeba, żeby jaśnie pan był uwiadomionym.

— Zabijać nie trzeba, ale bić co wlezie! — odezwał się sędzia, gwałt gwałtem odpierać. — Szlachetka sobie pozwala, rozumu nie ma; okaż-że mu acan, iż z nami się mierzyć nie może. Z lada czem nie występujcie, wziąć ludzi z innych wiosek i nauczyć ich, co to zemną wojować.

Trochę rozgrzany tem sędzia, już się miał w wymowne puścić instrukcye ekonomowi, gdy nagle, oczekującego Buchowieckiego przypomniawszy sobie, urwał, kończąc summarycznie:

— Masz acan normę z lat poprzednich — zatem według niej proszę postąpić i zważać, abyśmy szwanku nie ponieśli.

Skłonił się Śliwka i wyszedł.

Tego mu tylko potrzeba było: wyraźnego rozkazu i dyspozycyi, aby w razie jakiego nieszczęścia sam nie odpowiadał. Wszystko zresztą było w gotowości: Bracki pisarz z koniem okulbaczonym stał zabramą; ludzie ze wszystkich włości, co-najzuchowatsi, już byli pościągani. W takich okolicznościach zwykle im wódki obficie dawano, a że oprócz tego Łopatyccy ząb mieli do Sierhińskich, szli więc z ochotą wielką. Bracki pisarz, hoży chłop, awanturnika kawał, dość jednostajne funkcye swe przy lamusach i gorzelni rad był urozmaicić, dowodząc ludziom przy napadzie.

Śliwka jako hetman i wódz wyprawy, sam osobą swą nigdy się nie narażał, stawał zwykle na hrudku, w błoto się nie puszczał i wołaniem tylko ludzi zagrzewał.

— A wal-że ich! a wal! nie żałujcie kijów! w lesie ich rośnie dość.—Popraw! popraw! i t. p.

Wiemy już jakie były skutki napaści na kosiarzy Sierhińskich i że p. Erazma skaleczonego i potłuczonego, gdy rozzbrajać zamierzał, ledwie ztamtąd Morawiec wyrwał. Jednakże Bracki, który się nadto naprzód wysforował, także nie wyszedł cało. Nabito mu guzów, rozpłatano skroń do krwi, i odzież na nim poszarpano. Zwycięztwo przeważających sił okupione było drogo. Z Łopatyckich ludzi jeden miał rękę przetrąconą, drugi nogę zwichniętą, nieliczące pomniejszych sińców i bolesnych razów.

Już pod wieczór Śliwka, ludziom kazawszy dać wódki dla zapicia sprawy, sam z Brackim udał się do dworu z raportem, chcąc też pisarza stawić do wizyi pańskiej, bo mu się nagroda należała. Właśnie Buchowiecki był odjechał, i znużony nader żywą rozmową Czemeryński, muchy opędzając chustką, sam jeden w kancellaryi swej odpoczywał, gdy Śliwka wszedł z ukłonem, wiodąc za sobą Brackiego.

Zobaczywszy ich zrazu sędzia, którego myśli były jeszcze w Wołczynie i Terespolu, nierychło się opamiętał i przypomniał sobie o co chodziło. Dopiero rozbita głowa Brackiego pamięć w nim zbudziła. Zerwał się z krzesła.

— Cóż tedy?

— Stało się według rozkazu jaśnie pana—odezwał się Śliwka powolnie i dobitnie.—Szczęściem że ja wyszedłem cało, bo bójka była zajadła, ale oto Brackiego poturbowali dobrze.

Czemeryński spójrzał nań.

— Na czemże się skończyło? jaki rezultat finalny?—zapytał.

— Naturalnie, proszę jaśnie pana, żeśmy ich spędzili precz, nabiwszy.—To się rozumie — odezwał się Bracki—a no—co się bronili zuchwale, to bronili. Ale mają za swoje!

— Jeszcze, proszę jaśnie pana—dodał z ironicznym uśmiechem Śliwka, pana Strukczaszyca syn, chcąc niby rozjemcą być, niepotrzebnie wlazł między ludzi, to i tego raniono szpetnie. Ledwie go ekonom, mało nie na rękach salwował. Plejzyrowany!

Czemeryński szeroko rozwarł usta.

— Co-bo powiadasz?—zawołał.

— Jak mi Bóg miły—powtórzył Śliwka.

— A no, pewno! potwierdził Bracki.

Sędzia stał chwilę zamyślony, kombinując coś.

— Dobrze mu tak! — krzyknął nagle, dobrze. Gdyby samemu Strukczaszycowi się dostało, nie rzekłbym nic—niech w szkodę nie liżą, niech cudzego nie zagarniają! Dobrze! stokroć dobrze!

— Siano-śmy przeciągnęli na naszą stronę—dodał Śliwka.

Sędzia głową dał znak pochwalający, poszedł do kantorka, dobył coś z niego, u okna obliczył, i stojących w progu obdarzył za wierne posługi.

Wyszli. Czemeryńskiego twarz, zrazu rozpromieniona, pochmurniała wkrótce; rachował może następstwa. Przeszedł się parę razy po kancellaryi, lecz że do wieczerzy dano znać, wyszedł na pokoje. Tu nań pani sędzina i Leonilka, pani St. Aubin i ksiądz kapelan z Brześcia, Dominikanin, oczekiwali.

Ksiądz Ambroży, którego nie znamy jeszcze, ex-definitor, człowiek wiekowy i poważny, zdolny w rozmowie dostać choćby wymownemu sędziemu; posyłanym tu był z klasztoru, dla wygodnego i spokojnego życia, jakie tu pędził, i dla towarzystwa miłego Czemeryńskiemu. Wchodzącego do salki bawialnej powitała pieszczotami córka i spostrzegła zaraz chmurkę na twarzy.

— Podkomorzy tatkę musiał zamęczyć — odezwała się panienka z politowaniem.

— Ale nie, jako żywo! lubię go — odpowiedział Czemeryński. Rozmowa w tych przedmiotach, które się tyczą spraw publicznych—jest dla mnie prawdziwą rekonfortacyą!

— A cóż tatkowi jest?—zapytała córka, za którą matka, wlepiając oczy w ukochanego, szepnęła.

— Jegomość-bo istotnie cóś zaturbowany!

— To powszedni chleb, łaska kochanego sąsiada, tego szlachetki Strukczaszyca, który mi pod bokiem siedzi! no!

— A cóż? co? — podchwyciła córka — cóż nowego?

— Nowego, bo się *idem ibidem* co roku regularnie repetuje, począł Czemeryński, z tą jedną małą różnicą, że w dżdżyste lata wcześniej, w posuchy później przychodzi. Znowu mi ci rozbójnicy Sierhińscy łąkę moją na Osowcu kosić próbowali, znowum siłą napaść i wiolencyę odpierać musiał; przyczem waleczny rycerz Bracki kontuzyi dostał. Gdy to mówił, ze smutną jakąś i zakłopotaną minką przypatrywała się ojcu Leonilka. Wcale ją to nie radowało; ksiądz ex-definitor milczący głową potrząsał, jejmość twarzyczką całą okazywała grozę i oburzenie. Pani St. Aubin nie zdawała się na sprawy te powszednie zwrócić nawet uwagi.

— Tandem, ciągnął dalej wymówny sędzia, zmuszając się nieco do okazania radości, tandem naturalnie wiktorya przy nas; nieprzyjaciel z konfuzyą opuścił pole bitwy, łup siana pokoszonego zabrano, a jw. pan Strukczaszyc, miły sąsiad nasz, jagomości synkowi swojemu, wchodzącemu w jego ślady, plastry teraz przykłada, bo się kawaler wmieszał czynnie między walczących, i pono kosą szpetnie został raniony!

Z ust panny Leonilli, której piękne brewki się zmarszczyły, wyrwał się wykrzyknik:

— Cóż znowu! Czyż może być!

— A cóż w tem dziwnego?—odparł Czemeryński, rodem kury czubate: kawaler czasu nie traci: zamiast się zapisać do chorągwi, wojuje z chłopami! Zawsze to dowodzi rycerskiego ducha!

Jejmość przystąpiła, stukając trzewiczkami na korkach, dotknęła ręką dłoni mężowskiej i podnosząc główkę zwiędłą a dziwnie wyrazem dziecinną, szepnęła:

— Czyż to może być?

— Juścić-bym nie komponował — odezwał się sędzia. Śliwka z Brackim tylkoco wyszli odemnie. Spodziewam się, że nie kłamią. Bracki paskudnie pobity!

I śmiać się począł sędzia; kobiety, już nie przedłużając rozmowy, cofnęły się nieco ku oknu, a Czemeryński został w pośrodku pokoju z ex-definitorem.

Dominikanin głową ciągle potrząsał, nic nie mówiąc.

— Śliwka może powiedzieć z Cezarem: *veni, vidi, vici*. Cieszę się z tego, mój mości dobrodzieju. Lecz, z drugiej strony— dodał, spoglądając ku kobietom i głos zniżając — z drugiej strony, nie taję, że z tego poranienia syna Strukczaszyca nie bardzo rad jestem. Trzeba, jak ja, znać tego człowieka! Mruk zajadły, mściwy, zły, więc mu to żółci dodaje do serca, a jest jej w niem i tak dosyć. Należy się więc mieć na ostrożności. Nie żebym się miał lękać tego szerepetki—bynajmniej, ale na pieczy się mieć muszę bardziej jeszcze, bo na wszystko gotów. Imaginuje sobie pewnie, iż za jego szacowną krew szlachecką — równa jej popłynąć powinna.

Ruszył ramionami ex-definitor.

— Fatalny *casus!*—mruknął.

— Cóż jegomość dobrodziej chcesz—ciągnął dalej, znowu podnosząc głos sędzia, gdy kogo Bóg pokarał taką dokuką, taką *skułą* pod pachą, takim wrzodem i pestylencyą, jak mnie oto tym sąsiadem! Ani dnia, ani nocy spokojnej nie mam.

— Znasz jegomość Strukczaszyca?

Ex-definitor potrząsł głową.

— Tylko, żem go parę razy zdaleka widział.

— Ja też, ale znam to ziółko po zapachu, który do koła siebie rozlewa. Znam! — mówił sędzia—patrząc nań, rzekłbyś, Bogu ducha winien, pokorny, milczący, trzymający się kąta, pary nie puści z ust, ale z oczów—fraszka wilcze wejrzenie, gdy w jamę wpadnie złoczyńca. Nie piśnie, nie poskarży się, nie mruknie, a zmódz go niéma sposobu.

— Jakiż temu koniec będzie?—zapytał ex-definitor.

— Wiekuista wojna, po wszystkiem—rzekł Czemeryński. Nie stanie starego—syn już począł, odziedziczy po nim sentymenta, chyba, gdy Bóg da zięcia z energią, to szlachetkę zagryzie. Dałem się mu i ja we znaki, ledwie dysze, bo się na processa zrujnował, ale póki koszulę mają na grzbiecie, nie ustąpią.

Ex-definitor, który wiedział dobrze o zamożności Hojskich, bo nieraz w klasztorze znaczne depozyta czasu niepokojów składali, nieznacznie ramionami poruszył.

— Do koszuli to tam jeszcze daleko, szepnął—mają się oni dobrze!

Sędzia wpatrzył się w mówiącego.

— A zkąd-że to jegomość o tem możesz wiedzieć? — spytał. Ludzie twierdzą, że Tadeusza śpiewają. Jedna wieś, niezgorsza prawda, bo się zaborami po całem sąsiedztwie zapomogła; po żonie posagu wielkiego nie wziął.

— Ja tam nie wiem — rzekł zcicha ex-definitor, lecz że kapitały bardzo znaczne w rękach mają, które nieraz u nas deponowali, rzecz to wątpliwości nieulegająca.

Czemeryński zdawał się tą wiadomością mocno uderzony.

— Na prawdę to jegomość twierdzisz!—zapytał.

— Nie śmiałbym na lekko, jaśnie wielmożnemu panu takich rzeczy do ucha kłaść — dodał ex-definitor. Gdy razą ostatnią kufry swe przywieźli, oddając księdzu przeorowi i klasztorowi w opiekę, deklarowanych mieli piętnaście tysięcy czerwonych złotych, oprócz talarów bitych i innych kosztownych przedmiotów.

— Proszę! proszę! — rzekł zadumany Czemeryński. Tem ci gorzej, bo ich znać trybunały nie zruinowały, i dojadać mi będą, póki grosza stanie. Tandem, skazany jestem na wiekuiste borykanie się z nimi!

Westchnął.

— Ludzie-bo się godzą—czasami!—dołożył ex-definitor.

Usłyszawszy to Czemeryński, w głos się rozśmiał.

— Jak świat światem, mój ojcze, nie będzie Hojski Czemeryńskim bratem! Ja z torbami nie pójdę, Bóg łaskaw, a ich z niemi wyprawię! Będzie zgoda, jak tych hołyszów nie stanie!

— Ani ich dukatów, ani ich zajadłości się nie boję. Co Czemeryński, to nie jakiś tam Hojski—ale, ale—*usque ad finem!* nie ustąpiemy!

Kościół parafialny do którego i Sierhin i Łopatycze należały, jak wszystkie prawie w tych okolicach, z drzewa był wystawiony, drzewem był restaurowany i poczerniawszy a zawiądłszy, trzymał się jeszcze wcale nieźle, choć z jednej strony, dla bezpieczeństwa, miasto szkarp, silnemi kłodami go podpierano. Powierzchowność miał skromną, i stare chyba drzewa, otaczające go dokoła, dodawały mu fizyognomii. Jak kościół sam tak dzwonnica bez żadnego względu na piękność zbudowane były. Cmentarzyk, oparkaniony nieładnie ale mocno, opasywał go dokoła.

Pomimo tak zaniedbanej powierzchowności domu Bożego, parafia była wielka, probostwo dobrze wyposażone. Lecz z dawiendawna po sobie następujący proboszczowie, o własne wygody i o pokaźność kościoła dbać się nie zdawali. Nie była to obojętność dla chwały Bożej, lecz tylko pojęcie, że chwała ta wystawnego gmachu, ani nęcących oko ozdób nie potrzebowała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Noc Nowego Roku. — Fizyognomia miasta. — Zmiany zapowiedziane w Berlinie. — Przesilenie. — Posłowie francuzcy. — Cuda przyszłej wystawy paryzkiej. — Rachuby na nią. — Prasa peryodyczna niemiecka. — Brak nowości. — Hackländera „Romans mojego życia.“ — Bismarckiady i szowinizm w sztuce i literaturze — Bismarck platt deutsch. — Podania domu Hohenzollernów. — Pamiętniki z czasu monarchii Lipcowej. — Wizerunki Heinego i Börnego. — Skarbiec Humorystyczny. — Nawias o wydaniach pism Fredry. Syn kanclerza. — Rom. hist. Blechnera. — Samarow. *Glaincarn* P. Idy Duffus Hardy. — Powieść Wilbrandta. — Anzengruben. — *Dziewczyna z sokołem* i krytyka francuzka. — *Marya Antonina* braci Goncourt. — *Stłuczony dzbanek* Kleista.

Bije północ — we wszystkich kościołach, ze wszystkich wież odezwały się dzwony, śpiewają czy pieśń pogrzebową, czy hymn powitalny? rozeznać niepodobna. Dla jednych brzmią żałobnie, radośnie dla drugich. Stoimy u progu nowego wymiaru życia — zadumani, niepewni: cieszyć się czy smucić — trwożyć się czy karmić nadzieją. Doprawdy, dziwnie śpiewają te dzwony, ale wśród nocy ten chór zagadkowych głosów ulatujący, rozpływający się, obumierający i ożywiający, porusza w nas też uczucia, których charakteru oznaczyć niepodobna.

We wszystkich a mnogich piwiarniach, restauracyach, koncertowych salach, balowych lokalach okna płoną gazem, brzmi muzyka, idą polonezy ze świecami i wiwaty! Na starym rynku gromada uliczników czekała uderzenia dzwonu na Sto-Krzyzkim kościele, aby się z wrzawą puścić na miasto; starego tego obyczaju wzbroniła czujna policya, i tłum zachowuje się spokojnie.

Przebrzmiały dzwony; chwila szału przemknęła — nowy rok pracy się rozpoczyna. Cicho znowu! Gdzieniegdzie światełko pali się w izdebce chorego, a może lampka przyświeca niedokończonej robocie.

Jak święta Bożego Narodzenia tak i Nowy Rok przeciągają się tu w Niemczech do Trzech Króli, będąc rodzajem spoczynku i wytchnienia. Choinki jeszcze się palą wieczorami dla dzieci, ale już odarte ze wszystkich przysmaków, któremi były obwieszone. Pozostały na nich tylko najniepozorniejsze cukierki, najniepokaźniejsze orzechy. Naostatku i one dobre będą, gdy wszystkiego zabraknie. Tak w starości to, czem gardziliśmy, cośmy lekceważyli zamłodu, spożywa się na życia ostatkach.

Właśnie w ciągu świąt zapowiedziane były jakieś tajemnicze zmiany w Berlinie. Między stolicą tą a Warcinem toczyły się układy; widoma głowa Liberalnych, p. Benigsen, pojechał wezwany do kanclerza, aby się z nim układać o utworzenie nowego gabinetu; i — powrócił podobno, nic nie zrobiwszy. Warunki postawione były tak ciężkie, iż nawet niesłychanej potulności stronnictwo przyjąć ich nie mogło.

Oprócz tego, szeptano, że książe wymagał od dworu usunięcia niemiłych osobistości, i upewniają, że wymagania sięgały tak daleko, iż przez dwadzieścia cztery godzin sądzono, że feldmarszałek Manteuffel stanie na czele nowego gabinetu. Dotąd jednak wszystko postaremu.

Tylko, ze zmianą rzeczy we Francyi, zmieniła się reprezentacya jej w Berlinie: po panu Gontaut-Biron nastąpił hrabia de St. Vallier. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, iż p. Goutaut-Biron, dobrze widziany u dworu, miły cesarzowej, czasem po półtora roku na oczy nie widział kanclerza, który go nie znosił. Następca jego jest prawie pewnym lepszego przyjęcia, gdyż w czasie wojny i układów o pokój, okazał się w stosunkach z Niemcami nadzwyczaj — pojednawczym.

Stosunki z Francyą poprawiły się. Cuda już prawią o wystawie paryzkiej, a do cudów zaliczyć trzeba, że Niemcy w ostatniej chwili mieli się rozmyśleć i zażądali w niej uczestnictwa. Czegóż-bo tam starym dzieciom nie pokażą? Balon olbrzymi będzie gości woził w powietrze, ażeby z wysoka mogli się przypatrywać stolicy Francyi; teatra będą grały z kolei dramata i komedye, począwszy od japońskich i chińskich aż do — niemieckich! Mnóstwo cudów ma się po raz pierwszy zjawić na wystawie, stworzonych gwoli temu wielkiemu popisowi, na który zjedzie szach perski i nieskończona moc różnych nieznanych znakomitości ze wszech końców świata. Trzeba to przyznać Francuzom, że w pomysłach są nieprzebrani, i umieją je tak ubrać, tak postawić, iż niemi najobojętniejszych skuszą — i — co figiel to grosz. Wystawa będzie kosztowała miliony, ale pokaże Francyę zwycięzką na polu przemysłu i kunsztów, i opłaci się sercu jej, Paryżowi, ogromnym cudzoziemców napływem. Dla nas ona szczególniej z tego względu będzie ciekawą, iż wszystkich naszych celniejszych artystów dzieła oglądać na niej będzie można, począwszy od *Grünwaldu* Matejki, do *Wzięcia Konstantynopola* Chlebowskiego.

Nie chcemy prorokować, lecz zdaje się, że ten popis olbrzymi międzynarodowych prac — zamknie erę wielkich wystaw tego rodzaju. Paryż chyba mógł się ważyć po wiedeńskiem *fiasco* probować szczęścia. Kolej teraz na Berlin przychodzi, który nie ma odwagi ani zasobów potrzebnych, by się ważył w szranki wystąpić. Z bogactwami Anglii i Francyi niemieckie mierzyć się nie mogą. Tu stosunkowo wszystko młode jeszcze i drobne. Prusy, stojące na czele cesarstwa, świetniejszego nieco bytu liczą zaledwie wiek jeden.

Nowy rok, o ile wiemy, w najżywotniejszym dziale piśmiennictwa, w dziennikarstwie, nie przyniósł prawie nowych przedsiębierstw. Jest to wielce charakterystycznem, gdyż powodzenie tych pism kilku, które abonentów liczą na krocie, niepokoi tych, coby się czegoś łatwo dorobić chcieli. Lecz w wyścigach do złotego runa tylu już padło! tyle prób zawodami się skończyło! Z westchnieniem opowiadają sobie maleńcy nakładzcy, jak Keil, dziś miliony mający z *Gartenlaube*, poczynał z niczego; jak z prószynki rodziło się *Über Land und Meer* — niekażdemu dano mieć szczęście i wytrwałość! — Teraz, gdy oba pisma wspomnione już ustaliły swą sławę i zapewniły sobie odbiorców, śmiało na laurach spoczywać mogą — i spoczywają. Najmniejszego starania o ulepszenie, o ożywienie, o zbogacenie nie widać, forma zachowuje się stale ta sama, treść zawsze jedna. Ulubieni pisarze mieniają się na tej scenie, witani zawsze z równem upodobaniem przez tę poczciwą publikę niemiecką, która tak się przywiązuje do rzeczy znanych, tak znałogowuje do imion i form, że nowości prawie nie pragnie. *Gartenlaube* znowu ogłasza powieść Marlitta i powieść Wernera — czegóż więcej potrzeba?

Z wielką niecierpliwością wyczekiwany pierwszy zeszyt Hacklaender'a *Romansu mojego życia*, już się ukazał. Mam go przed sobą — ale tak misternie oblepiony, że zajrzeć niepodobna do środka, nieobowiązując się do kupienia całości, na co dość będzie czasu, gdy się ona dopełni. O treści więc nic powiedzieć nie potrafię, oprócz, iż czytelnicy szczególniej się łakomią na rewelacye — na skandale, na historye dworskie, których zdaje się, że w tym romansie nie znajdą, bo — bo z pewnością uległ on pewnym modyfikacyom, których okoliczności wymagały.

Przypominają sobie ci, co sprawozdania z wystawy filadelfijskiej czytywali, że p. Rouleaux (mimo nazwiska swojego francuzkiego, Niemiec i Prusak), śmiał się ze współziomków swych, wyliczając ilu i w jak rozmaitych postaciach Moltkich i Bismarcków posłali do Ameryki. Tabakierki, kominki, cygarniczki były niemi przyozdabiane; byli cynkowi, bronzowi, kościani, papierowi, z cukru i z mydła! Otóż niemal toż samo w literaturze. Obrobiono ks. Bismarck'a we wszelki możliwy sposób; teraz daje go Niemcom — pan Wilhelm Schröder, z nowym sosem — w języku płasko-niemieckim, dla rozmaitości *De plattdütsche Bismarck*, a pan Oskar Schwebel przynosi *Podania o Hohenzollernach*. Ks. Bismarck w dyalekcie ludowym jest książką dla ludu, stosownie napisaną — gloryfikacyą niezaprzeczenie znakomitego i wielce oryginalnego człowieka, którego uszanować można, ale się w nim, nawet Niemcowi, pokochać trudno.

(Dokończenie nastąpi)

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 22 Grudnia 1877 r.

Chwilowe uspokojenie we Francyi. — Niepewność. — Słówko Voltaire'a o tragedyi *Gorboduka*. — Wiadomości literackie. Dwie książki polityczno-religijne i dwaj mężowie stanu, Włoch Minghetti i Castelar Hiszpan, na polu literackiem. — *Kościół i Państwo* pierwszego; *Sztuka, religia i natura we Włoszech* drugiego. Tissandiera *Historya moich podróży w balonie*. — Językoznawstwo porównawcze i jego dzisiejsze znaczenie w nauce. — *Mieszaniny mitologii i lingwistyki* p. Michała Bréala. — Don Garofiły Marot: *Słowo o dzwonach*. — Ciekawe szczegóły tej książki. — Osobiste wspomnienie korrespondenta o szkolnej dzwonnicy. — Jeszcze słowo o telefonie; zastosowanie praktyczne i przyszłe nadzieje w liczbach.

(Dokończenie).

Ciekawa też jest do czytania książka p. Tissandiera pod tytułem: „Historya moich podróży w balonie“ (*L'Histoire de mes ascensions*). Nie wiem czy czytelnicy „Bluszczu“ przypominają sobie bolesny wypadek, jaki spotkał przed rokiem w Vincennes trzech młodych, uczonych balonistów, z których dwaj życie stracili. W swoim czasie zdałem sprawę z tego wypadku. Otóż autor książki, o której mowa, pan Tissandier, jestto trzeci towarzysz nieszczęśliwych ofiar nauki, cudownie prawie wybawiony od niechybnej niemal śmierci. Książka więc o *Podróżach w balonie*, napisana przez człowieka, który sam je praktykował w tak dotkliwy sposób i pomimo to praktykuje dotąd, — ma ten smak i ten ukryty pociąg, który jest jedynie własnością pisarzów posiadających albo głęboką wiarę, albo znających głęboko przedmiot, o którym piszą. Książka p. Tissandiera zaleca się jeszcze i prawdziwym talentem pisarskim, co bynajmniej nie szkodzi i co owszem dodaje tego pieprzyku, którego braknie bardzo często, szczególniej w książkach naukowych i specyalnych.

W liczbie książek specyalnych, pożytecznych dla wielu i odpowiadających doskonale wyłącznemu celowi, który kierował myślą autorów, należy wspomnieć: „O mieszaninach mitologii i lingwistyki“ (*Mélanges de mythologie et de linguistique*) p. Michała Bréal'a, członka Akademii *des Inscriptions et Belles-Lettres* i professora w kollegium francuzkiem.

Wiadomo dziś wszystkim ludziom naukowym, jak ważne miejsce zajmuje językoznawstwo porównawcze w dziedzinie powszechnej oświaty. Gramatyka — ten pierwszy szczebel nauki języka, odnowiona, a właściwiej mówiąc, przeistoczona w całym dawniejszym swym składzie, gramatyka, jeżeli jest jeszcze podwaliną tej wiedzy, stała się również i jej koroną, pod nazwiskiem: *Gramatyki porównawczej*. Rzucając nowe i żywe światło na źródło i mechanizm starożytnych języków, wyjaśnia ona również historyę nowożytnych, a ucząc nas *zkąd* idziemy, wskazuje prawdziwą drogę, po której iść nam należy, aby trafić do celu, *dokąd* nas losy prowadzą. Gramatyka, podniesiona na te wyżyny, stała się, zaprawdę, prawdziwą nauką języków, a następnie wraz z mitologią i historyą — *Rodosłowem ludzkości*.

Uczony professor francuzkiego kollegium, Izraelita z pochodzenia, ma ten dar rzadki, że umie naukę uczynić dostępną dla wszystkich i jego wykład, czysty i jasny, jest równie zrozumiałym dla uczonych jak dla ludzi światowych. Jak sam autor powiada nam w przedmowie, rozmaite części, z których składa się ta książka, — lekcye we francuzkim kollegium i prace umieszczane w pismach specyalnych — wskazują rozmaite, jak on powiada, *etapy* nauki.

Pierwsza z tych części, najobszerniejsza ze wszystkich z powodu szczególnej czci oddawanej jednemu z bożyszcz pogańskich, dają nam ciekawą, streszczoną historyę studyów mitologicznych. W każdej z następnych części znajdujemy też samą metodę i toż samo usiłowanie pokazania czytelnikom z pomocą faktów i przykładów doskonale wybranych, ogólny wypadek poszukiwań nauki porównawczej. Jednem słowem, książka p. Bréala zaleca się sama przez się każdemu, kto zdaleka czy zblizka zajmuje się postępem nauki.

Don Enrico Garofi y Marot, kanonik Toledzki, napisał ciekawą książkę pod tytułem *Słowo o dzwonach*. Jeden z uczonych Hiszpanów, zamieszkały w Paryżu, raczył mi zakomunikować to dzieło w rękopiśmie, z upoważnieniem użycia i zużytkowania wiadomości w niem zawartych. Korzystam z przyjacielskiego upoważnienia i podaję w treści czytelnikom „Bluszczu“ co mi się wydało najciekawszem w tej wyczerpującej przedmiot monografii.

Dzwony, według szanownego kanonika, który się opiera na świadectwie najlepszych źródeł historycznych, znane były w najgłębszej starożytności. Były one w użyciu u Egipcyan, Hebreów i Rzymian, ale ich wprowadzenie do kościołów, dla oznajmiania wiernym godzin i religijnych obrzędów, nie przechodzi VI-go wieku naszej ery; chociaż niektórzy pisarze kościelni utrzymują, że pierwsze dzwony wprowadzone zostały w użycie przez świętego Paulina, biskupa Nolańskiego (w królestwie Neapolitańskiem) żyjącego w 409 r.

Najpierwsze dzwony lane były z bronzu, czyli spiżu, jedyny kruszec znany starożytnym i z tegoż kruszu i do dziś, za naszych czasów odlewane są dzwony, chociaż liczne bardzo i pomyślne doświadczenia czyniono nieraz, aby spiż zastąpić innym metalem. Tak na wielkiej wystawie londyńskiej i później w Paryżu widzieliśmy wspaniałe dzwony lane ze stali, pochodzące, jak utrzymuje ksiądz kanonik ze słynnej ludwisarni Kruppa, znanej dziś całemu światu z mniej religijnych ale niemniej głośnych i hucznych wyrobów. Dzwony stalowe mają szczególne i właściwe im brzmienie, nieustępujące w niczem brzmieniu spiżowych dzwonów. Próbowano też odlewać dzwony szklanne, które wskutek niezmiernej grubości ścian swych są równie mocne jak spiżowe, a nie ustępują w niczem tym ostatnim codo piękności dźwięku. Nakoniec są dzwony złote i srebrne. Po wzięciu Pekinu i spaleniu letniego pałacu cesarza dzwon złoty, znaleziony w tej rezydencyi, dostał się Francuzom i aż do końca kampanii znajdował się w ich obozie.

Jeżeli zwyczaj zwoływania wiernych do kościołów za pomocą dzwonów sięga VI-go wieku naszej ery, jak mówiliśmy, zwyczaj chrztu, czyli poświęcenia dzwonów kościelnych wprowadzony został dopiero w X wieku. Pierwszy obrzęd poświęcenia odbył się w 965 r.; konsekratorem był sam papież, Jan XIII. Za jego idąc przykładem zaczęto poświęcać dzwony wszędzie i zwyczaj ten upowszechnił się tak bardzo, iż to wywołało pewne nadużycia, dla zapobieżenia którym zaprowadzono pewne reguły i pewien porządek. W r. 1500 synod tolozański postanowił, że prawo poświęcenia dzwonów należy jedynie do biskupów i że żaden kapłan lub proboszcz nie może odprawić tego obrzędu bez szczególnego i wyraźnego upoważnienia swojego biskupa. Na zachodzie trzymanie dzwonów do chrztu było poszukiwane dawniej niezmiernie przez najznakomitsze osoby, które się ubiegały o zaszczyt nadania swych nazwisk poświęconym dzwonom i przekazania ich w ten sposób wiekuistej, jak się zdało, pamięci!.... Parafie korzystały z tej słabostki dla otrzymania nieraz znacznej bardzo summy, która pozwalała odlewać wielkie i ciężkie dzwony, pokazywane później z dumą jako ozdoby świątyń.

Największe dzwony, znane za naszych czasów, są w Pekinie i w Moskwie, z których każdy waży 120,000 funtów francuzkich; dzwony Ś. Szczepana w Wiedniu, Najświętszej Panny w Paryżu, ś. Jakóba w Kompostelli nie przechodzą 40,000 funtów wagi. Najmniejszy ze słynnych, niezmiernie pięknego dźwięku, dzwon w Rouen, nazwany „Grzegorz d'Amboise“ od imienia chrzestnego swego ojca, kardynała tego nazwiska należy do najznakomitszych.

Upowszechniona w całym świecie bajka ugruntowała to mniemanie błędne, że aby nadać dzwonom ów wdzięk szczególny, jakim się odznaczają niektóre z nich, dodawano do spiżu pewną ilość srebra. Ztąd to poszło, że kiedy dzwony we Francyi przetopione zostały w mennicy w początkach Rewolucyi Francuzkiej, a z nich odbito w roku 1789 groszaki nazwane „*Sous de cloches*“ z wyobrażeniem Ludwika XVI, pospólstwo poszukiwało je łakomie w przekonaniu, że się w nich znajduje pewna część srebra. Przecież łatwo jest bardzo zrozumieć, że to podanie nie ma żadnej zasady; gdyż, aby ilość srebra, którą ma zawierać w sobie dzwon jaki, mogła mieć wpływ rzeczywisty na rodzaj jego dźwięczności, potrzeba tej ilości nadać tak ogromną proporcyą, iżby to przechodziło daleko zwyczajną wartość odlewanych dzwonów. Zresztą wiadomo jest dzisiaj, że dźwięczność i szczególne brzmienie dzwonów zależy jedynie od pewnego stopnia rozpalenia, do jakiego ma być doprowadzony w piecu metal; stopień ten oznacza się kolorem czerwonym, pewnej barwy, którego spostrzeżenie zależy całkowicie od wielkiej wprawy nadzorcy czy robotnika, zajmującego się odlewem dzwonów. Można więc być pewnym, że owe srebrne talary, które dawano niegdyś tak hojnie ludwisarzom dla przymieszania do spiżu, wpadały raczej do kieszeni ludzkich niż do tygli fabrycznych.

Większa część kościołów posiada zwykle dwa, trzy i więcej dzwonów. Wiele z nich wybiera się w ten sposób, aby ich połączone dźwięki stanowiły pewien akord i harmonię. W niektórych kościołach, szczególniej we Flandryi i w Belgii, urządzono tak zwane „*Carillons*“ według pewnej chromatycznej gamy o dwóch lub trzech oktawach, co stanowi przy biciu godzin jakby odrębną i szczególną muzykę dzwonów *sui generis*.

Przypisywano niegdyś dzwonom rozmaite własności i cudowne wpływy. Następny wiersz łaciński średniowieczny powiada: „*Vivos voco, mortuos plango, fulgura frango*“ (Żywych wzywam, umarłych płaczę, kruszę pioruny!) Podanie to o rozpędzaniu chmur i grzmotów przechowało się dotąd u ludu, pomimo dowodzenia uczonych, że częste bicie w dzwony w czasie burzy przeciwne sprowadza skutki i staje się powodem, iż ściągana przez wibracyę elektryczność skupia się i spada tam właśnie, zkąd te gwałtowne wychodzą dźwięki. Inny jeszcze zwyczaj w zachodniej Francyi wymaga, aby kum i kuma w czasie chrztu dziecięcia dzwonili po trzykroć w dzwon kościoła, by dziecię nie było głuchem. Ceremonia ta, wymyślona zapewne przez służbę kościelną, kończy się pewną opłatą na rzecz zakrystyana, za pociągnięcie sznura od dzwonu, co wyłącznie należy do szczególnych przywilejów tego dostojnika.

Następuje potem sposób, jakim się bije w dzwony. Dwa są sposoby, powiada kanonik. Zwykły i powszedni zależy na targaniu liny, uwiązanej do rękojeści armatury dzwonu, aby wprowadzić go w ruch i wahanie się, wskutek czego żelazny młot, serce zawieszone we środku, uderza z kolei jedną i w drugą stronę. Ale kiedy rzecz chodzi o owe olbrzymie massy, których poruszyć nie zdoła nawet połączona kilku ludzi siła, w takim razie przywiązaną do młota liną wprowadza się je w ruch i do uderzania w nieporuszone ściany dzwonu zniewala.

Dzwonienie po kościołach odbywa się rok cały, oprócz ostatnich trzech dni wielkiego tygodnia, gdy milczenie dzwonów wskazywać winno wiernym powszechną żałobę. W czasie tych trzech dni *Dzwony idą do Rzymu*, mówi tradycya stara, a ich miejsce zastępują klepadła z drzewa. Z jutrznią Wielkanocną, z pierwszym brzaskiem zmartwychwstania, znowu rozlegają się dźwięki dzwonów, wyśpiewując wiernym Aleluja! z tem weselem, które zrozumieć może tylko serce zdolne miłować i wierzyć.

Streszczając dla moich czytelników książkę Don Garofiego, nie mogłem odwrócić oczu od tej dzwonnicy cerkwi w Humaniu, której trzy wielkie dzwony tyle razy wygrywały mi ongi marsz tryumfalny, na którego poważną i wspaniałą nutę biegłem w świat — świat maleńki, cichy, serdeczny i drogi, świat domowej zagrody — po skończonych szkolnych examinach i rozdaniu nagród w dzień Świętego Piotra. Słyszałem później w życiu bijące dzwony nawet u Ś-go Piotra w Rzymie; słyszałem okrzyki ludu — to w radości, to w szale; słyszałem wojskowe trąby: ale głos ich nie poruszył już nigdy w sercu tak szczerej, tak nieprzymuszonej radości, jak owe trzy głosy z Humania. Widzę tę dziwną, niedokończoną, tymczasową dzwonnicę, wzniesioną na murze klasztornym jakby fronton domu albo kaplicy, na drugim piętrze tej facyaty były trzy wielkie, długie jak piętro otwory, w każdem z tych wielkich okien na oścież otwartych zawieszony był dzwon. Wpośrodku gruby, przysadkowaty, pomrukiwał basem, boczne dwa wtórowały mu altem i tenorem! To był śpiew, to była muzyka — nad muzyki!... A tam nad prawem skrzydłem klasztoru, zabudowanego w podkowę, tam wysoko ponad trzypiętrowym dachem, tam, któż to śpiewa dyszkantem? To sygnaturka! Jej to głos czysty, jasny, dźwięczny, jakby *Ut* piersiowe, tyle lat mię budził ze snu, z pierwszym brzaskiem jutrzenki wołając na *Prymaryę*, potem do klassy, dwa razy na dzień: do klassy, gdzie tyle łez i tyle śmiechu, tyle bitew i tylu przyjaciół!

A dziś? śmiechy, bitwy, przyjaciele, gdzież wy jesteście? — Rozpierzchło się wszystko jakby stado spłoszonych wróbli...

Wspomniałem już wam niegdyś o nowym wynalazku, a raczej zastosowaniu w dziedzinie telegrafów; chodziło wówczas o to, aby dać wam wiadomość o pierwszych próbach kommunikacyj elektrycznych, zastosowanych do głosu ludzkiego. — Opisałem pierwsze narzędzia i pierwsze doświadczenia czynione w Ameryce. Dziś, kiedy się cały świat zajmuje tym wynalazkiem, obowiązkiem jest moim, niedotykając już kwestyi technicznej, to jest narzędzi i sposobów kommunikacyi, powiedzieć jakie otrzymano wypadki z tych doświadczeń i co nam obiecują w przyszłości.

Co najbardziej obchodzi publiczność, to to, żeby wiedzieć dokładnie: jakie mogą być następstwa wprowadzenia *Telefonu*, — tak się nazywa ten przyrząd do zwykłych telegraficznych kommunikacyj? Wprzód, nim wskażemy te następstwa, należy powiedzieć jakie są wypadki otrzymane z użycia dzisiejszego przyrządu Morse'a.

Dziś za pomocą tego ostatniego przyrządu wprawni telegrafiści mogą przesłać w ciągu jednej godziny 750 wyrazów, to jest 30 telegramów, z których każdy w przecięciu zawiera 25 wyrazów; a więc 6,750,000 słów na rok, lub 262,800 telegramów 25-cio wyrazowych. Jestto szybkość mniej więcej równa zwykłem sposobowi pisania.

Ten ostatni obrachunek stanowi punkt ważny do zapamiętania; albowiem, gdyby zastosowany telefon nie miał wnieść żadnego ulepszenia do dzisiejszego sposobu telegrafowania, publiczność niby nie zyskała na tem i użycie nowego wynalazku byłoby bez żadnego dla niej pożytku. I rzeczywiście, telegrafujący postawieni na dwóch ostatecznych punktach telefonu byliby w temsamem położeniu, w jakiem się znajdują dwie osoby, z których jedna pisze to, co jej dyktuje druga. Telefonista, posyłający depeszę, musi z każdą chwilą robić przestanki, po wymówieniu kilku wyrazów, aby zostawić czas swojemu korrespondentowi do należytego ich przepisania. Na szczęście mamy w ręku doskonały sposób pomocniczy, to jest stenografię, a za pomocą jej skróceń możemy otrzymać następny wypadek:

Osoba mówiąca wyraźnie i dość wolno, aby stenograf mógł jej wydołać, wymówi łatwo około 150 wyrazów na minutę, co dozwoli otrzymać za pomocą telefonu usłużonego przez zręcznych stenografów 78,840,000 wyrazów, czyli 3,153,700 depesz na rok, wówczas kiedy systemat telegraficzny Mortea daje najwięcej 262,800 depesz. Jestto więc czystego zysku 1,200%.

Powyższy rachunek pokazuje jaką należy przywiązywać wagę do nowego wynalazku, z tem jednak zastrzeżeniem, że w dzisiejszym stanie rzeczy stenografia jest równie niezbędną dla telefonu jak telegraf dla dróg żelaznych.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Cudzoziemka, — komedya w 5 aktach przez Al. Dumasa (syna) — przekład Wł. Bogusławskiego, — przedstawiona po raz pierwszy dnia 30 Grudnia 1877 r.

(Dokończenie).

Teorya wibryona wreszcie znaną jest w medycynie, gdyż przy operacyach chirurgicznych używają sposobu dra Listera, który za pomocą skraplania kwasem karbolowym, niszczy działanie tych żyjątek powietrznych. Zaiste — dziwnej analogii wyszukał sobie pisarz dramatyczny, i kto wie czy na takie ryzykowne teorye społeczne nie byłby równie skutecznym dezinfekcyjny kwas karbolowy?

Czytelnik zapewne dowiedzieć się jeszcze pragnie: kto jest ta tytułowa heroina, ta „Cudzoziemka“ wokoło której i przez którą, wikła się cały węzeł rodzinny, tak luźnie zaciśnięty?

Gra ona tu rolę niszczyciela owych wibryonów, chociaż według najściślejszej definicyi rzeczonej teoryi, któż bardziej od niej, może uchodzić za wibryona? któż więcej od niej przyczynia się do zepsucia i zgnilizny ciała społecznego i jakichbądź, najprostszych choćby zasad moralności?

Ta Mistress Clarkson jest kobietą tajemniczą, demoniczną do najwyższego stopnia, wszechwiedzącą i wszechpotężną, a liczy się do rasy Chama. Jest córką niewolnicy, którą zauważył pan jej, raczej właściciel, a ona „tej uwadze zawdzięcza swe urodzenie“.

Właściciel ten a ojciec Cudzoziemki, sprzedał ją razem z matką na targowisku, ale dwóm oddzielnym kupcom. Wtedy-to poprzysięgła ona zemstę nieubłaganą wszystkim białym mężczyznom. Wyswobodzona skutkiem wojny amerykańskiej o niepodległość, rozkochuje w sobie syna owego plantatora, czyli własnego brata. Ten w zazdrości, zabija rodzonego swego brata, czyli jej brata drugiego, poczem ona denuncyuje zabójcę. Wieszają go, ona zaś zaślubia szanownego p. Clarkson; ale tego samego wieczora ucieka, zabierając mu z kassy 20,000 dolarów, czyli całe mienie tego poczciwca.

Opuszcza Amerykę a najeżdża Europę, którą dalej w podobny sposób obrabia, to jest przyprowadza swych wielbicieli do samobójstwa, ruiny i hańby. Wszędzie sieje żałobę i rozpacz, bo tak nakazuje jej posłannictwo „dziewicy złego“ niezupełnie bezinteresowne, gdyż przynosi jej w zysku miliony milionów. Ta „dziewica“ przeto — którą dawnemi czasy w dziedzinie sztuki teatralnej można było zaledwo spotkać w najcudaczniejszym melodramacie w 24 odsłonach,—uznawszy, że Gerard budzi w niej coś niby miłość, nakazuje księżnej ustąpić mu go, pod karą wytoczenia jej wojny. Ale i księżna ma sobie właściwą szlachetność— ona nie ustąpi; wtedy Cudzoziemka ostrzega księcia o niebezpieczeństwie, podżega jego zazdrość, i w ten sposób wywołuje pojedynek, czyli sprowadza konieczną śmierć na wibryona.

Sama zaś w końcu ustępuje, twierdząc patetycznie, że „w walce z Bogiem“.

Jakto? więc ta ohydna kobieta, która zabijała, kradła, hańbiła i unieszczęśliwiała, w owych wszystkich wypadkach nie widziała przed sobą Boga, dopiero teraz, gdy trzeba było pomódz księciu de Septmonts do wdowieństwa?

Logika i prawda najzupełniej odrębna, a rzeczywiście wchodząc już w teoryą Dumasa, któż bardziej od niej, kwalifikuje się na królową wibryonów, które wytępić, zasługą byłoby każdej dobrze uorganizowanej społeczności?

Z samego podania już tej treści każdy najprostszy umysł rozstrzygnie łatwo: czy tego rodzaju żywioły składowe nadają się do komedyi społecznej, mającej niby na celu zaobserwowanie złych i śmiesznych stron, ażeby je wychłostać i chłostą usunąć; — czy wreszcie według systematu nawet Dumasowskiego, figury takie jak książe de Septmonts, a zwłaszcza Cudzoziemka i jej mąż, pan Clarkson, nie należą do kreacyj najzupełniej wyjątkowych, poprostu nieprawdziwych, a nawet w dziedzinie fantazyi niezasługujących na usprawiedliwienie, bo są wprost pozbawione wszelkiej poetyczności, mocą której, jak wiadomo, najdziwniejsze pomysły zyskują prawo bytu?

Lecz patrząc nawet przez szkła autora, czy możemy zgodzić się na logiczne następstwo tych charakterów?

Biorąc w dalszym ciągu przyjęcie wszelkich tez autora, jeszcze co krok otrzeć się trzeba o niekonsekwencye, nienaturalności, nieprawdę i wogóle brak wszelkich podstaw rzeczywistości.

Czyż naprzykład nie zastanawia nielogiczność pani Clarkson, która walczy z księżną dlatego, że poraz pierwszy ma „kaprys“ dla Gerarda, i ażeby tego dopiąć, podszeptuje zdradliwie podejrzenie na żonę księciu, wiedząc, że on bije się doskonale na szpady, że więc tego, przez nią poraz pierwszy w życiu ukochanego, na pewno zabije? A potem, gdy cudem melodramatycznej maszyneryi, pan Clarkson, jej niby małżonek, zabija księcia, ta „dziewica złego“ śmie utrzymywać, że „Bóg jest przeciw niej, a z Nim walczyć nie chce“. Wszystko więc było niepotrzebne, i owe wejście tryumfalne do salonów księżnej, i owa długa spowiedź z ohydnego życia przed rywalką, skoro nic lepszego wynaleźć nie umie, prócz zasadzki na tego właśnie, którego „pierwszy raz“ pokochała.

Mężulek jej, uwielbiający żonę, która go w dzień weselny ograbiła i od niego uciekła, opowiadający z wszelką swobodą jak powystrzelał tych, co mu stali na zawadzie, ażeby tylko jaknajwięcej milionów przysporzyć swemu aniołowi, należy do bohaterów nadzwyczajnych; ale, że słuchując zwierzeń księcia, staje się nagle tak rycerskim i cnotliwym, iż uważa za konieczność zgładzić go natychmiast,—to już przechodzi granice zwykłego prawdopodobieństwa.

Przyzwyczailiśmy się już i przez W. Sardou, widzieć na scenie excentrycznych i niedorzecznych Amerykanów, ale tam daje nam ich autor w karykaturze, tu zaś każe nam na seryo brać tych ludzi i wierzyć w nich. Oczywiście, dowcipny Dumas drwi z publiczności. Coprawda, i książe de Septmonts niewiele rozsądniejszy. Skarży się na gburowatość pana Clarksona przed jego żoną, a w takiej chwili gdzie chodzi o życie i honor, jego właśnie wybiera na sekundanta.

Pan Mauriceau, figura dorobkiewiczów przetarta już na scenie, wbrew całej swej przeszłości, rozczula się nagle nad nieszczęściem córki i wybucha płaczem, a potem służy za sekundanta jej kochankowi przeciw temu, któremu za to, iżby był jego zięciem, grubo zapłacił. Bywają różne położenia, ale rzadko kto chciałby się z podobnego, w jakim się znajduje p. Mauriceau, wydobyć w sposób tak jaskrawo-krzyczący, tak niezgodny z wszelkiemi zwyczajami społecznemi. O charakterze córki mówiliśmy już, rownie jak o Gerardzie, który mimo całego swego doktrynerstwa należy do figur biernych i trzeciorzędnych.

Słowem, charaktery w ogóle nie mają wyrazistości, prawdy i tego tętna życia, które uderza, przyciąga sympatycznie i zostaje na długo w pamięci. Ujemne, są dziwolągami z melodramatu, a codo dodatnich, powtarzamy za jednym z krytyków francuzkich następną apostrofę do autora: „Wolimy już zgodzić się na twoich łotrów, aniżeli na twoich uczciwych ludzi, i choćbyśmy wierzyli w „dziewicę złego“ nie uwierzylibyśmy nigdy w cnotę księżnej de Septmonts“.

Dumas znany jest dostatecznie ze swych paradoxów i sofizmatów w sztukach poprzednich, jak: „Pojęcia pani Aubray“, „Księżna Jerzowa“, „Żona Klaudyusza“, jakoteż z rozgłośnych przedmów, mogących uzupełnić to, czego nie dokazały komedye, a teraz z „Cudzoziemki“ opartej na teoryi wibryonów, ażebyśmy dłużej potrzebowali wykazywać jednostronność i fantazyjność zasad moralno-społecznych, jakie gwałtem chce przyswoić ogółowi.

Gdyby jeszcze nie był sam postawił tak stanowczo zadania utylitarnej moralności, jako celu swej działalności dramatopisarskiej, lżej byłoby nie zważać na tendencyjność rzucającą się do oczu. Lecz czy podobna przemilczeć o pewnego rodzaju szale, który opanował tego utalentowanego pisarza w ostatnich latach jego twórczości, czy podobna niezauważyć jednego waryanta o różnych tylko strofach? Strzał pistoletowy ma rozstrzygać kwestyą honoru, związków rodzinnych i szczęścia pojedynczych osób? Wszak w „Księżnie Jerzowej“ mąż zabija kochanka, chociaż się myli co do osoby; w „Żonie Klaudyusza“ mąż zabija żonę, bo innego sposobu rozwiązania ohydnego małżeństwa nie zna, a nareszcie w „Cudzoziemce“, żona pośrednio przy pomocy osób trzecich, zabija męża.

Jeżeli wszystkie te naboje mają cel umożliwienia rozwodów, to i tak źle zostały użyte; lecz Dumasowi nie o to chodzi. On nie wspomina nigdy o rozwodach, ale o usunięciu stanowczem, radykalnem, niedogodnej żony lub niedogodnego męża, na własny rachunek i odpowiedzialność. Następstwa praktyczne rozpowszechniania podobnych środków leczniczych, niechaj sobie każdy dośpiewa w duszy, lecz niechaj też nikt nie lekceważy zanadto morału wypowiedzianego z desek scenicznych. Teatr, jakkolwiek nie jest szkołą moralności, jest jednak dla wielu, pewną wskazówką ogólnych pojęć obyczajowych i moralnych, więc już i tego lekko brać nie należy. Mógł wreszcie Dumas przekonać się we własnym kraju, że zbyt naciągnął sznurek, i że nawet, tak pobłażliwi w kwestyach moralnych, jego współrodacy już sobie jego reformatorstwo serdecznie naprzykrzyli.

Czy więc nasza publiczność zyskać co mogła na przedstawieniu „Cudzoziemki“; czy jej przybyło jakie ziarnko zdrowych pojęć społecznych lub obyczajowych? Z pewnością nie. Czy chociaż zajmowała się żywo tym utworem, tak jak się nieraz zajmujemy melodramatem, w którego prawdziwość nie wierzymy z góry, ale który nas mimowoli trzyma w naprężeniu? Także nie, a winą tego rozwlekłe dyalogi i brak wszelkiej a wszelkiej akcyi, w trzech pierwszych długich aktach. Podziwiać nawet można cierpliwość naszej publiczności i ten wygórowany szacunek dla dzieła obcego jej zupełnie, zwłaszcza, gdy dla swojskich utworów mniej miewa wyrozumienia.

Bardzo efektowne i zręczne pod względem technicznym sceny w akcie IV i V, ratują całość od upadku i przytrzymują zmęczonego słuchacza; ale na to orzeźwienie potrzeba zbyt długo czekać. Każda z osób, — a podrzędne w wyższym jeszcze stopniu—mówią tu bez upamiętania, z odpoczynkami, pauzami i okresami, które Niemiec nazwał „siedmiomilowemi“ — każda jak naprzykład margrabina, opowiada tu najniepotrzebniej swoje życie, swoje na świat poglądy i przywidzenia, a ostatecznie ci, co najwięcej rozprawiają, jak dr Remonin i magrabina, w sztuce samej zupełnie podrzędną grają rolę. I gdyby nie chodziło o wypowiedzenie teoryi wibryonu, dr Remonin zupełnie byłby niepotrzebnym.

Nie winimy bynajmniej reżyseryi za wybór, bo „Cudzoziemka“ zawsze należy do nowości słynnego pisarza, a jako taka zasługuje stanowczo na pomieszczenie w repertoarze, który chce być wszechstronnym.

Zaraz już z gry artystów poznać było można, że się nie znajdują w swoim żywiole, że kopiować muszą typy, w których prawdziwość niewierząc, na domysł tylko stwarzać im muszą fizionomię godną przedstawienia artystycznego.

Panna Popielówna, grająca rolę księżnej, tak dalece była przejęta dwuznacznością swej roli jako charakteru moralnego, że wzięła go *par force* szlachetniej, usiłując głębszym liryzmem, naiwnością kochającego serca, odratować fałszywą podstawę.

Udało się też jej nadspodziewanie, zwłaszcza w akcie IV i V, gdzie już dosięgła efektów silnie dramatycznych.

Mówimy, że się jej udało dlatego, bo jestto pierwsza jej rola w tym rodzaju, a zatem odskok tak nagły i tak wielki od ról serdecznie naiwnych, należał do trudności niepospolitych.

Za to z przykrością powiedzieć nam trzeba o pannie Derynżance, że rola Miss Clarkson wcale nie przystała do jej rzeczywistych, w innym kierunku zdolności. Jeżeli się zaś jej podjęła, to widocznie musiała, bo przecież nie chciałaby dobrowolnie niekorzystnego wywierać wrażenia. Na tę rolę, jak nateraz, nie mamy w osobokładzie warszawskim odpowiedniej artystki, pocieszamy się jednak tem, że i na wiele ról innych kobiecych nie mamy jej także.

Pani Niewiarowska (margrabina), gdyby tylko chciała mówić cokolwiek szybciej, zadowolniłaby zupełnie wymagania.

Pan Tatarkiewicz jako Gerard przedstawił się jak zawsze szlachetnie i z całem umiarkowaniem dobrze obmyślonego artyzmu. Pan Leszczyński zaś (książe de Septmonts) mający daleko trudniejsze zadanie do zwalczenia, w pierwszym tylko akcie wahał się cokolwiek, w późniejszych wszakże odtworzył typ wierny—takiego zepsutego nawskroś i zgniłego moralnie wibryona.

Wszelka się też pochwała należy p. Rapackiemu, który z takiej nudnej i konwencyonalnej figury jak dra Remonin, odtworzył typ żywy, sympatyczny i prawie możliwy. Wszelkie miejsca nacechowane większą prawdą umiał wybić z artystycznym smakiem.

Niemniej pochwalić trzeba pana Ostrowskiego (Mauriceau) za dzielne odegranie roli w tych nawet ustępach, gdzie mu gwałtem sentymentalnym być nakazano.

Pan Prażmowski bardzo wdzięcznie się zaprezentował i z wielką elegancyą jakoteż trafnością, wywiązał się ze swej roli.

Inni - to jest hrabiowie i książęta naszego teatru, ubrali się wcale przyzwoicie.

Przekład, pióra Wł. Bogusławskiego, dokonany piękną polszczyzną. P. Tatarkiewicz zaś, jako reżyser tej trudnej sztuki w zastępstwie p. Derynga, dowiódł prawdziwych zdolności scenicznego informatora.

E. Lubowski.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Świat roślinny w południowej Afryce

przez Dr **Ant. Rehmana.**

(Dalszy ciąg).

Zarosty krzewiaste wznoszą się wysoko po stokach pagórków przypierających do skalistych wierzchołków i wypełniają dość obficie wszystkie zagłębienia, po których woda deszczowa ścieka; a rozmaitość form jest tutaj znacznie większą, bo obok drobnolistnych rosną też i krzewy z liściem okazalszym, pojedynczym lub złożonym. Krzewy te należą do różnych rodzin, do motylkowatych, główkozrosłych, baldaszkowatych; ale na szczególną wzmiankę zasługuje rodzina miodownikowatych Proteaceae, bo dostarcza stosunkowo największej liczby gatunków, a wszystkie okazy do niej zaliczane są wyłączną własnością południowej Afryki (1). Wielka ilość miodowników ma liście wązkie i wydłużone, niekiedy omszone, a krzewy te zbliżałyby się najbardziej postacią do naszych wierzb, lecz krótkie i grube ich łodygi pokryte liśćmi tęgiemi, utkania skórkowatego, sprawiają wrażenie sztywności, właściwej całej rodzinie. Kwiaty ich są wielkie i okazałe, trudno porównać je z jakiemikolwiek kwiatami roślin europejskich, bo cała rodzina zajmuje dość oddzielne stanowisko w świecie roślinnym, a to, co zwyczajny spostrzegacz nazwałby u tych roślin kwiatem, jest właściwie zbiorem kilkudziesięciu wydłużonych kwiatków rurkowatej postaci, otoczonych wspólną łuskowatą kielichokrywą. We wnętrzu tych kwiatów zbiera się wielka ilość wodnistej wydzieliny, słodkiego smaku, w skutek czego bywają one tłumnie odwiedzane przez drobne ptaszynki, zbliżone żywością barw i rozmiarami do kolibrów amerykańskich. Robią na nie wyprawy i dzieci kolonistów i nazywają je, z powodu wzmiankowanej wydzieliny, Krzewami Cukrowemi (Zuckerbosch).

Za szczególną cechę tutejszej roślinności wypada uważać bogactwo krzewów a brak większych drzew. Ta ostatnia okoliczność jest tembardziej uderzającą, że sprowadzone z Europy sosny, dęby i topole, a nawet i nowoholenderskie rozdremby (Eucaliptus) znoszą tutejszy klimat doskonale, rosną szybko i zdrowo. Jedno tylko swojskie drzewo rośnie na przylądku Dobrej Nadziei gromadnie po miejscach otwartych; należy ono również do rodziny miodownikowatych, a listki jego są pokryte jedwabistemi włoskami i mają połysk białego atłasu, w skutek czego nadano mu nazwę Srebrzana (Leucadendron argenteum).

Znajduje się na przylądku Dobrej Nadziei kilkanaście innych drzew swojskich, lecz te trzymają się brzegów potoków i dlatego rosną prawie wyłącznie w skalistych szczelinach albo głębokich jarach, przypierających do wierzchołków gór. Miejscowości takie są wypełnione najbujniejszą roślinnością, a w porze letniej, gdy pagórki okoliczne, spalone od słońca, rażą wzrok nagością swoją, jary tutejsze cieszą się najświeższą zielonością i nagradzają obficie trudy podjęte dla ich zwiedzenia. Trudno mieć wyobrażenie o tym chaosie form, jaki panuje we wnętrzu tych jarów. Dno i boki są pokryte ściśniętym szeregiem wyniosłych drzew różnorodnych; odwieczne ich łodygi pokrywa trawnik mchów i porostów, a gałęzie ich są poplątane gęstą siecią roślin wiciowatych, wpośród których trudno dopatrzeć się liści i owoców pojedynczych drzew. Promienie słońca nie zdołają przebić się przez tę tkaninę liści i gałęzi i nie oświecają prawie nigdy dna jaru i dlatego niepozorne mchy i drobne paprotki są jedynemi roślinami, jakie można napotkać w cieniu drzew; ale po miejscach spadzistych, gdzie rozbijająca się po kamieniach woda napełnia wilgocią powietrze, mchy pokrywają skały i łodygi drzew w tak wielkiej ilości, że zieloność ich nie ustępuje w niczem tej, jaką w wysokich szczelinach Alp Europy napotkać można. Jeżeli promienie słońca zdołają przebić się do dna potoku, to nad brzegiem jego można nieraz napotkać bardzo bujny zarost paproci, a paprotka drzewiasta (Alsophila capensis) z łodygą, wysoką na dziesięć stóp i uwieńczoną wspaniałą koroną olbrzymich, drobniutko posiekanych, liści, jest najpiękniejszą takich miejsc ozdobą.

Taką roślinność można jednakże napotkać tylko w najwyższych szczelinach, zazwyczaj tak niedostępnych, że chyba tylko zapał naturalisty zdoła przezwyciężyć trudności stojące po drodze; a jeżeli zwyczajny turysta, znużony widokiem miasta, zapragnie odetchnąć świeżem powietrzem i nasycić wzrok widokiem swojskiej przyrody, to w porze letniej napotka tylko suche spłowiałe pagórki, porosłe gdzieniegdzie kolczatemi aloesami lub zawiędłemi krzewami, pokrytemi tak grubym pokładem pyłu, że z odległości trudno je odróżnić, bo barwa ich spływa się z barwą gleby, która je żywi.

Ale zmienia się koloryt miejscowości w porze zimowej, gdy deszcze zmyją pył z drzew i krzewów i nasycą wilgocią spragnioną ziemię. Zima trwa na przylądku Dobrej Nadziei od początku miesiąca Czerwca do końca Października i jest tak łagodną, że rozwój roślinności żadnej nie doznaje przerwy. Termometr nie spada tutaj nigdy poniżej zera, wskutek czego woda nie marznie, ale po kilkodniowych deszczach wierzchołki gór w głębi kraju położonych pokrywają się niekiedy śniegiem i wówczas przybierają na kilka dni złudną postać lodowców. Przez cały ten przeciąg czasu padają deszcze obficie. Pierwszy deszcz występuje zazwyczaj w postaci gwałtownej ulewy, trwającej dni kilka, poczem kilkudniowa następuje pauza. Deszcze późniesze są o wiele łagodniejszemi i nie trwają nigdy dłużej nad trzy dni; gdy deszcz ustanie niebo się wypogadza, słońce zaczyna silnie przygrzewać, a klimat w zimie na przylądku Dobrej Nadziei należy do najprzyjemniejszych i najzdrowszych na ziemi.

Po pierwszym zaraz deszczu roślinność powraca do życia. Krzewy pokrywają się obficie kwiatem, zarosty tutejsze zmieniają na kilka tygodni swoją postać i barwę, a podróżny, który widział je w lecie i był zdziwiony ich jednostajnością, znajduje się teraz w niemałym kłopocie wobec bogactwa form. Najokazalszych dostarcza rodzaj Pelargominna; wszystkie jego odmiany, hodowane u nas po szklarniach i salonach, z tych stron pochodzą. Ale za najcharakterystyczniejsze krzewy tej części świata wypada uważać wrzosy; na piaszczystych równinach poza miastem rośnie ich najmniej dwadzieścia gatunków; kwiaty ich przechodzą wszystkie odcienia barw od białej do ciemno-purpurowej, a chociaż rozmiary ich są drobne a postać niepozorna, to ukazują się za to w tak wielkiej ilości, że zmieniają na chwilę posępny koloryt miejscowości. Postać wrzosu powtarza się w kilkudziesięciu innych krzewinkach, należących do różnych rodzin, o ile listki ich i kwiaty są również drobne i niepozorne. Równocześnie zaczynają kwitnąć i krzewy wielkolistne; na sztywnych łodygach miodowników ukazują się kilkucalowe kwiaty barwy białej lub czerwonej, a rodzina motylkowatych dostarcza znacznej liczby gatunków, których kwiaty odznaczają się również żywością barw i przyjemnym zapachem.

Południowa Afryka odznacza się niezwykłem bogactwem roślin bulwiastych i cebulkowatych. W porze letniej są one niewidzialne, bo tracą pod wpływem posuchy swe liście i łodygi i niktby się w tej porze nie domyślił ich istnienia; ale ich bulwiaste korzenie spoczywają w głębi ziemi zabezpieczone przed szkodliwym wpływem posuchy i wyczekują spokojnie powrotu pory mokrej. Po pierwszym zaraz deszczu ziemia pokrywa się tutaj kwiatami rozmaitej postaci i barwy. Najpierw ukazują się drobne lecz kształtne kwiaty szczawików (*Oxalis*). Kto widział tylko dwa u nas pospolite gatunki tych roślin ten niedomyśliłby się nigdy bogactwa form, jakie ten rodzaj na drugim końcu starego kontynentu rozwija. Znaleziono dotąd w Południowej Afryce sto dziesięć gatunków szczawików. Kwiaty ich, najczęściej białe i czerwone, nieco rzadziej niebieskie, lila lub żółte, nieodznaczają się wielkiemi rozmiarami, ale ponieważ roślinki te rosną zazwyczaj gromadnie, przeto nagłe ich okazanie się na nagiej i wypalonej od słońca płaszczyźnie sprowadza najżywszą grę barw. Nieco później zaczynają kwitnąć cebulki jednolistniowe. Rodziny kossaćcowatych i liliowatych dostarczają tutaj niewyczerpanego bogactwa form, a mają tę wyższość nad szczawikami, że kwiaty ich odznaczają się większemi rozmiarami i większą rozmaitością barw. W miesiącu Sierpniu każdy prawie dzień nowych dostarcza gatunków, a pagórki około miasta przedstawiają niekiedy w ciągu kilku dni dziwną i zagadkową zmianę barw. Każdy dzień, bezużytecznie spędzony, naraża tutaj zbieracza na niepowetowane straty, bo niektóre formy są bardzo nietrwałe; kwiaty ich giną w ciągu kilku godzin, niepozostawiając żadnych śladów po sobie. Nowe formy wyrastają tutaj z każdym dniem, niemal zpod progu domów mieszkalnych, a autor niniejszej pracy znajdował codziennie prawie coś nowego wzdłuż ścieżki prowadzącej do miasta, którą po kilka razy na dzień przebywał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

(1) Rosną oprócz tego miodowniki tylko w Nowej Hollandyi.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Artystyczne wykształcenie kobiet naszych zyskuje sobie w Warszawie środki nowe. Znany u nas i zagranicą malarz olejny i pastelista, p. Tytus Maleszewski, otwiera dla uczennic pracownię swoją (Warecka Nr 3) i poczynając od d. 1 Lutego urządza dla nich lekcye zbiorowe najpierw rysunku z natury, następnie malowania olejno i pastelami, trzy razy tygodniowo po dwie godziny: od 2 do 4 we wtorki, czwartki i niedziele. Dzień ten ostatni obranym został ze względu na osoby, które tydzień cały pracowicie zajęte, czasem swoim rozrządzać dowolnie nie mogą.

Razem wynosi to 24 godzin miesięcznie, za co oznaczoną została przez p. Maleszewskiego cena rs. 8, a ta stosunkowo wielka taniość otrzymać się dała jedynie przez lekcye zbiorowe, przedstawiające inne jeszcze ważne dogodności; uczennica bowiem znajduje się wtedy wśród towarzyszek płci swojej jedynie, następnie w pracowni ma już wzory gotowe, co pod względem kosztów stanowi także rzecz niemałego znaczenia. A że malarstwo nasze, tak świetnie dziś reprezentowane przez liczny zastęp wyższych talentów, przez mistrzów pierwszorzędnej sławy, zaczyna przyjmować między adeptów swoich i kobiety, dowodem jest obraz p. Ma-

gdaleny Buttowt-Andrzejkiewiczówny, nadesłany na wystawę Sztuk pięknych z Monachium, a reprodukowany w drzeworycie przez „Tygodnik Illustrowany“ w pierwszym numerze tegorocznym: *Jan Kochanowski nad zwłokami Urszulki*. Uczennice p. Wojciecha Gersona zaznaczać się też zaczynają: panna Wisłocka przez bardzo piękne studya z natury—dwiema kredkami—zwróciła na siebie uwagę na wystawie Paryzkiej i naszej; drugą jest panna Bielińska, oddająca się naturze martwej, której prace widzieliśmy także na wystawie naszej Sztuk pięknych i na wystawie kobiecej w Muzeum rolniczo-przemysłowym.

Jak wogóle znajomość rysunku pożyteczną jest w życiu, jak rozwija i kształci smak, wyrabia uczucie estetyczne, umacnia pamięć linii, dowodzić chyba nie potrzeba: jestto jedna z najważniejszych pomocy we wszelkich niemal gałęziach zarobkowej pracy kobiecej. Potrzebuje jej nietylko drzeworytniczka, retuszerka fotografii; jest ona niezbędną również kwiaciarce, a nawet modystka wiele z niej korzysta i rysunek to zapewnia robotnicy francuzkiej, jak wogóle całemu przemysłowi francuzkiemu, pierwszorzędne stanowisko. Dziś też świat cały to już zrozumiał i wszędzie przy szkołach fachowych nauka rysunku ważne zajmuje miejsce. Z żalem zaznaczyć tu trzeba, że wykłady p. Gersona w Muzeum przemysłowym *O rysunku ornamencyjnym* znalazły bardzo niewiele słuchaczek — słuchaczy wogóle. To samo powtórzyć trzeba o wybornych a tak bardzo potrzebnych kobiecie wykładach p. Jankowskiego *O ogrodzie i sadzie*.

Hrabianka de Castries Beaumont, siostra marszałkowej Mac-Mahon, należąca do wysokich sfer arystokratycznych francuzkiego towarzystwa, a zarazem niepospolicie utalentowana rzeźbiarka, wykonała temi czasy popiersie Szopena, a bronzowe odlewy tego dzieła, wyższych podobno zalet artystycznych, używają w Paryżu wielkiego uznania. „Gazeta Warszawska“ donosi, że twórczyni jego napisała właśnie w liście do księżny Z. C.: „Gorąco pragnę, aby w ojczyźnie wielkiego poety muzyki poznano ten jego wizerunek, w który przelać chciałam cały mój zachwyt, całe me dla niego uwielbienie“.

Dnia 20 listopada Paweł Albert, autor *Historyi literatury rzymskiej* i pięknego studyum: *Święty Jan Złotousty* rozpoczął w Paryżu specyalnie dla kobiet przeznaczony wykład rzymskiej i greckiej literatury. Paweł Albert prowadzi już od lat kilku takie wyższe wykłady literatury dla kobiet: w roku zeszłym nauczał *O poetach XIX wieku*, tegoroczny zaś przedmiot wykładów został przez niego obranym na żądanie licznego koła zeszłorocznych jego słuchaczek. Zatem kobieta francuzka, tak okrzyczana z lekkości swojej i małego wykształcenia umysłowego, tak pomawiana o brak zajęcia się poważniejszemi przedmiotami i sprawami wyższego dla ludzkości znaczenia, nie musi być jednak taką w ogólności, skoro zdolna jest zainteresować się poezyą i ruchem myśli ludzkiej w odległej starożytności. Literatura francuzka posiada tak liczne i doskonałe przekłady wszystkich starożytnych pisarzy wyższego znaczenia, że jakkolwiek słuchaczki nie posiadają języka greckiego, nie umieją po łacinie, niemniej uczony prelegent będzie mógł wtajemniczyć je w piękności piśmiennictw starożytnych. Zastęp słuchaczek jest liczny, a ponieważ nic nie broni mężczyznom przystępu na wykłady, wielu uczęszcza na nie. Wtrącamy tu mimochodem, że przed kilku laty miewane u nas przez professora uniwersytetu p. Węclewskiego piękne i pod każdym względem pociągnąć mogące odczyty *O tragedyi Greckiej*, odbywały się w sali niemal pustej.

Jak niegdyś w czasie wojny Wschodniej stało się światu sławnem nazwisko Florencyi Nightingale, tak teraz druga kobieta angielska stawa uwieńczona aureolą miłosierdzia i poświęcenia dla cierpiącej ludzkości. Jest nią lady Strangford, pani wielkiego rodu i mienia, autorka i podróżniczka, używająca w świecie naukowem poważania, wreszcie kobieta jeszcze młoda i piękna, mająca wszelkie dane do używania w pełni obfitych łask losu, do pędzenia życia wśród wszystkich jego najlepszych rozkoszy. Ona przecież wybrała sobie drogę inną i widzimy ją obecnie w Adryanopolu, pełniącą szlachetne dzieło siostry miłosierdzia. Ze starożytnej rodziny Beaufortów, w młodym wieku, bo dwudziestokilkoletnia zyskała sobie niepospolity rozgłos w świecie naukowym przez dzieło: *Egiptian Shrines und Syrian Sepulchres* (Egipskie świątynie i syryjskie grobowce) oraz dwutomowy opis podróży po Egipcie i Syryi, odbytej ze starszą siostrą w 1860 r. W 1862 roku wyszła za wicehrabiego Strangford, najuczeńszego może oryentalistę w Europie, a zarazem głębokiego, szlachetnego myśliciela a związek ten zarówno serc i umysłów, stał się i kollaboracyą w pracach podróżniczo-naukowych. Lord Strangford był długo tłómaczem przy poselstwie angielskim w Turcyi, podróżował wiele—zawsze wraz z żoną—po państwie Ottomańskiem, zajmując się szczególniej ludami sławiańskiemi Bałkańskiego półwyspu, które uważał za daleko szlachetniejsze i wyższe od Greków, posiadające większy zasób siły żywotnej i duchowego zdrowia, przyczem Bulgaryę badał szczególniej. Śmierć nagła przecięła w 1869 roku nić młodego życia i położyła koniec uczonym pracom, położyła koniec szczęściu małżonki, której samotne życie przedstawia dziwnie piękny i głęboko wzruszający obraz. Literatka, kobieta uczona — wydała w roku 1866 ze współpracownictwem męża, wysoce zajmujące dzieło: *Wschodnie brzegi Adryatyku*—teraz zaczyna się ukazywać głównie kobietą gorącego serca, miłości tak silnej, że jedną tylko być mogła na życie całe. Wdowa żyje myślą o pamięci męża i kieruje się zostawionem jej przez niego natchnieniem; pierwszem czynem jej samodzielnej już woli jest założenie w Damaszku kollegium medycznego i ufundowanie przy kollegium w Harrow, gdzie mąż jej się kształcił znacznego stypendyum dla studenta oddającego się studyom geograficznym. Osobiście przecież lady Strangford oddawać się poczęła głównie dziełom miłosierdzia; nosząc sama w piersi bolesną za utraconem szczęściem tęsknotę, zapragnęła przynosić ulgę cierpieniom innych, bronić inne kobiety od żałoby wdowieństwa, dzieci ludu ubogiego od sieroctwa. Istnieje obecnie w Anglii wysoce dobroczynna instytucya: *Narodowe stowarzyszenie dostarczania ubogim chorym wykształconych pilnowaczek;* otóż lady Strangford jest jego twórczynią, powstało ono z jej myśli, rozwinęło się pod jej kierunkiem i dziś pod przewodnictwem księcia Westminsteru jest jedną z najpożyteczniejszych instytucyi dobroczynnych w Anglii. Obecnie zaś gdy tylko zapaliła się wojna na Wschodzie, gdy powstania ludności chrześcijańskich sprowadziły w strony tamte nędzę i cierpienia, lady Strangford stanęła na czele dobroczynnego ruchu niesienia pomocy potrzebującym, przez ośm zimowych miesięcy przebywała sama w miejscach, gdzie szerzyła się wojna—miała szpital w Philippopolis, oddając własną swą osobę na posługę cierpiącym. W Sierpniu roku przeszłego udała się powtórnie do Turcyi dla zakładania również szpitali, przed wyjazdem swem przecież ogłosiła drukiem sprawozdanie z użytku powierzanych sobie przez kraj pieniędzy, że przecież summa była znaczna—27,000 funtów szterlingów, a sprawozdanie najbardziej szczegółowe, że dołączono doń annexa rozmaite w językach: Bulgarskim, Tureckim, Greckim, Francuzkim i Angielskim, wytworzyło to 27 tomów. Lady Strangford pisze w przedmowie, że przez cały czas tej pracy nikt jej nie zastępował nigdy w prowadzeniu rachunków i przy wypłatach, których dokonywała zawsze własnoręcznie. Dopiero sprawdzanie rachunków zostało powierzone jednemu z londyńskich domów bankierskich, i nazwisko firmy podane w sprawozdaniu. Koszt podróży samej lady Strangford i utrzymania jej w Turcyi nie wchodziły tu w rachunek.

W Sierpniu lady Strangford udała się najpierw do Konstantynopola, gdzie zajęła się przygotowaniem do dzieła i zniosła się z towarzystwem *Czerwonego Księżyca*, które natychmiast przyjęło ją na swego członka i lady Strangford w liście swym, który ogłosiły pisma angielskie, pisze:—Uczułam się bardzo dumną z tego, jestem bowiem pierwszą kobietę, która wśród Ottomanów została przypuszczoną do publicznego dzieła miłosierdzia i miłości bliźniego (*mercy and charyty*). Stowarzyszenie Czerwonego Księżyca odbywało swe posiedzenie w pałacu Dolmabagcze, przeznaczonym niegdyś na przyjmowanie poselstw zagranicznych, i lady Strongford, która tam się znalazła w towarzystwie 19 gentlemenów tureckich, ze wzruszeniem myślała, że w tych miejscach mąż jej bywał niegdyś. Metoda postępowania przy obradach bardzo jej podobała; chwali swobodę i pełność rzeczy w dyskusyach, szybkość w załatwianiu interesów.

Po naradzie z towarzyszami, jak już teraz miała prawo nazywać członków *Czerwonego Księżyca*, szlachetna pani udała się do Adryanopola i tam założyła szpital, obsługiwany przez Angielki z pomocą tłómacza Bulgara. Pierwsi ranni byli z pod Szybki; cierpienia ich, nędze, przez które przeszli, wdzięczność dla niej i towarzyszek opisuje we wzruszający sposób, ale najbardziej zajmującem jest opis wrażenia, jakie szpital wywarł w mieście tureckiem, gdzie widok publicznej działalności kobiet był nową i poruszającą umysły rzeczą. Odwiedzin było mnóstwo: najpierw zjawił się wali miejscowy, dobry—jak się wyraża lady Strangford, — Ibrahim-basza; potem przybył wojskowy komendant miasta, Dżemil-basza; potem jeszcze naczelnik policyi, doktorzy i władze lekarskie, zarządy szpitali miejscowych, o których lady Strangford pisze, że są niezłe, wiele lepsze w urządzeniu swojem niż były w Anglii przed dwudziestu laty, ale usługa w nich, bardzo niedostateczna—„brak jest kobiety“. Z podziwieniem też przyglądano się szlachetnym Angielkom w ich czynności. Dżemil-basza okazał się bardzo zajętym—bywał w szpitalu często; zaś Ibrahim-basza zaraz po powrocie z odwiedzin w Strangford's-House wysłał do Sułtana telegram pełen uwielbienia; biedny ranni w uniesieniu wdzięczności swojej nazywali angielskie swe opiekunki matkami swemi, sułtańskiemi matkami, wielkiemi wezyrowemi.

Natłok rannych z ciągłych a morderczych walk był ogromny, cztery szpitale miejskie przepełnione, zwykli chorzy bez pomieszczenia; nędza i cierpienia ludzkie niewypowiedziane. Lady Strangford spotkała tu się przecież z dobroczynnością innej Angielki: lady Burdett-Coutts, milionerki, starej panny, której kosztem działa w Turcyi *Komitet Angielskiej pomocy* i której sam Sułtan wyrażał już wysokie podziękowanie. Lady Strangford wspomina też o pani Camara—zdaje się żydówce—która założyła bardzo dobry szpital dla kobiet i dzieci tureckich. Lady Strangford ma obecnie w Adryanopolu dwa szpitale.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tytułem: Zamek Daly.

TREŚĆ. Zadania moralne, przez Bronisława Chlebowskiego. — **Sąsiedzi**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Listy z zagranicy**, przez J. I. Kraszewskiego. — **Nowiny paryzkie**, (dokończenie). — **Przegląd teatralny**, (dokończenie), przez Edwarda Lubowskiego. — **Z działu przyrody**, (dalszy ciąg), przez Dr Ant. Rehmana. — **Kronika działalności kobiecej**.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Января 1878 года.